6,000



Przyszły mistrz.

NASZE ŻYCIE

NUMER 7. WRZESIEŃ ROK 1936

HASŁO MŁODYCH!

Chcesz być cnotliwym? Zapatruj się na sprawy wielkich cnotami ludzi, ażebyś usposobił się czuć szlachetnie. — Gdy zaś uczujesz przywiązanie do ziemi ojczystej, skłonność do przyjaźni z towarzyszami swego wieku i powołania, miłość bliźniego i troskliwość o samego siebie, natenczas możesz być przeświadczony, że uczyniłeś pierwszy, ale wielki krok na drodze doskonalenia twego serca.

JÓZEF JEŻOWSKI
filareta.

TREŚĆ MIESIĘCZNIKA:

ZA POZWOLENIEM WŁADZY DUCHOWNEJ.

Drukarnia „Powściągliwość i Praca", Kraków, ul. Kazimierza Wielkiego 95.

Rok XIII. Nr. 7.

WRZESIEŃ

1 9 3 6.

NASZE ŻYCIE

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY MŁODZIEŻY ZAKŁADÓW WYCHOW. TOW. „POWŚCIĄGLIWOŚĆ I PRACA"
POD REDAKCJĄ: KS. EDWARDA TOMZY

Zakład Wychow. Pawlikowice p. Wieliczka.

Konto czekowe: P. K. O. 404.854.

Telefon 54.

Święty Wódz a czasy obecne.

Od zarania wszechświata pierwszy bunt wobec Stwórcy Wszechrzeczy zrodził się u Lucyfera, — bunt, który stał się pierwszym ziarnem zła.

„Wyniosę stolicę moją ponad gwiazdy, ponad stolicę Najwyższego".

Ten okrzyk buntu uczynił tak wielkie zamieszanie na niebie, że część aniołów stanęła po stronie buntownika.

Zawrzała walka. A na czele aniołów wiernych Najwyższemu stanął Archanioł, który z okrzykiem Mi-cha-el, Któż jak Bóg, strącił Lucyfera w ciemności.

I niebo raz na zawsze zamknęło się przed nim.

— — — — —

To, co stało się w niebie, powtarza się dzisiaj na ziemi.

Dzisiaj nowe potwory, podobne Lucyferowi, podnoszą stugłowy swój łeb, a cielskiem swem chcą opasać ziemię.

Imiona ich są: masonerja, komunizm, bolszewizm. One krzyczą dziś z całej mocy, ażeby głosem swym napełnić Wszechświat, a w cyniźmie swym ośmielają się twierdzić, że niema Boga.

Zło rozlało się szerokiem korytem i obejmuje nietylko jednostki, rodziny czy stowarzyszenia, ale jak rak toczy całe społeczeństwa i narody.

Weźmy taką Rosję bolszewicką, ten moloch, stanął dziś pod egidą Lucyfera, a tych wszystkich, którzy upominają się o prawa i istnienie Boga, męczą, katują i w bestjalski sposób uśmiercają. Ten kapłan, czy wierny kościołowi, który odważyłby się powiedzieć: „Któż jak Bóg", ginie w kałuży własnej krwi.

Masonerja i komunizm, wszystkich środków używają, ażeby Stwórcę Wszechrzeczy pokonać, wyrwać z dusz i serc wiernych, a obóz „starego buntownika" powiększyć.

Dzisiejsze czasy coraz wyraźniej uwidaczniają dwa potężne obozy, jednemu patronuje Wódz Boży — Św. Michał, — drugiemu — Lucyfer.

I na arenie świata znowu widnieją łuny pożarów przysłonione dymami, a jazz kul i armat wraz z jękami konających tworzą akord — piekła.

Piekło na ziemi. Tak! gdzie usuwa się Boga, gdzie niszczy i pali się Jego przybytki wzniesione i utrzymywane pietyzmem wieków, gdzie morduje się wyz-

nawców Najwyższego. — tam musi zapanować piekło.

I ks. Bronisław Markiewicz w wieszczym przeczuciu widział przyszłą wzmożoną walkę dwu potęg, złej i dobrej.

Dlatego Zgromadzeniu swemu za patrona dał Wodza Niebieskiego — Św. Michała.

Św. Michał Arch. zwany jest księciem, czyli wodzem wojska niebieskiego.

Tym wojskiem niebieskim są nietylko Aniołowie ale wszyscy członkowie Kościoła Świętego, którzy bronią czci Stwórcy Wszechrzeczy przeciwko zakusom szatana. Członkowie Zgromadzenia Św. Michała Arch. w sposób szczególnie karny muszą stanąć do walki ze „starym buntownikiem".

I dziś, gdy zło chce zatopić świat w swych czeluściach, z okrzykiem „Któż jak Bóg", idźmy po zwycięstwo!

Włast.

Tragedia żydowska.

Gazety donoszą o ustawicznych rozruchach w Palestynie, o setkach zabitych Arabów i Żydów, o spalonych miastach, palestyńskich. O cóż tam idzie?

Żydzi od 50 lat kuszą się odebrać ziemię przez Boga im obiecaną, którą 1500 lat posiadali, a 2000 lat temu stracili. Niewielka to ziemia. W najlepszych dla siebie czasach mieściła około 5 miljonów mieszkańców. Dziś mieszka tam około 800 tysięcy ludzi, a żydzi są w znacznej mniejszości, bo stanowią zaledwie 1/6 ludności, reszta to pobratymcy ich Arabowie, którzy mieczem bronią im wstępu do ziemi ich ojców.

Przed kilku miesiącami jechałem koleją z miłym towarzyszem w kierunku Jasła. Prócz nas dwóch w przedziale był tylko jeden podróżny o niewyraźnej twarzy, przynajmniej, towarzysz mój nie podejrzywał w nim żyda.

W Tarnowie na stacji tenże towarzysz skierował moją uwagę na ciekawą scenkę, która rozgrywała się na sąsiednim torze. Oto koło pociągu zgromadziła się większa liczba starozakonnych odświętnie ubranych. Znać było wśród nich znaczne ożywienie. Po chwili do przedziału wszedł tęgi, ale niskiego wzrostu żydowin, otoczyli go inni, daleko wyżsi, układali mu walizki na półkach i żywo według zwyczaju gestykulowali, zachowując względem niepozornego żydka niezwykły respekt. Ten tłum hałaśliwy nie przypadł do gustu mojemu towarzyszowi podróży, bo po chwili z oburzeniem zagadnął mnie.

— Niech ksiądz patrzy, co za wstrętne typy, czy nie przypominają księdzu żydów, którzy krzyżowali P. Jezusa?"

Te niezbyt pochlebne dla żydów słowa wywołały dość żywą i ciekawą reakcję u naszego nieznanego pasażera.

— Proszę księdza, czy to naprawdę żydzi ukrzyżowali *św. Wojciecha,* a nie legjoniści rzymscy?

Nie wiedziałem, co oznaczała ta pomyłka w imieniu ukrzyżowanego, upewniło mnie tylko, że nasz sąsiad jest żydem, który zresztą nie czekając na moją odpowiedź pośpieszył wyrazić swoje najwyższe oburzenie pod adresem swoich współwyzawców na sąsiednim torze, a zarazem objaśnił, o co tam chodziło. Okazało się, że żydzi ci odprowadzali i żegnali nie byle kogo, tylko „cudownego rabina".



Pawlikowice: Klerycy przy budowie młyna.

— Proszę księdza dobrodzieja ,takie jednostki, jak ten „cudowny rabin" najwięcej nam żydom wyrządzają szkody — to prawdziwa zakała żydostwa.

— A wie pan, że osobiście więcej cenię żyda szczerze wierzącego, choćby w cudownego rabina, niż żyda wyzutego z wszelkiej wiary i religji. Bo ten człowiek wierzy przynajmniej w jakąś wyższą siłę moralną i swoją moralność do niej stosuje.

— Ależ to faryzajstwo, to udawanie... Dziadek tego niby cudownego rabina był naprawdę pobożnym człowiekiem, ale z tego nie wynika, aby wnukowie jego na tem interes robili.

— Nie znam tych ludzi i nie mogę ich sądzić. O ileby tak było rzeczywiście jak pan mówi, zupełnie podzielam pańskie zdanie, bo zbrodnią jest nadużywać rzeczy dla człowieka najświętszych i wyzyskiwać do celów niskich. Nie bronię ludzi złej woli, tylko szczerych, choćby błądzących.

Na tem rozmowa nasza nie skończyła się. Widziałem, że ten żyd był człowiekiem poważnym i o sprawach żydowskich sam chętnie chciał z nami mówić, nie zrażając się naszą szczerością. Postanowiłem tedy zejść na poważniejszy temat.

— Wie pan, że przyglądając się żydom doznaje się takiego uczucia, jakbym się przyglądał prawdziwej i wielkiej tragedji.

— O tak, nasz naród nieszczęśliwy. Prześladowali nas Rzymianie, gonili nas przez wieki całe po Europie, a teraz Hitler...

— Istota nieszczęścia waszego, przerwałem, głębsza. Tragizm wasz w tem leży, że nie rozumiecie już waszego przeznaczenia i roli. Z narodu waszego Bóg postanowił zesłać Zbawiciela *nietylko dla was, ale dla wszystkich ludzi*. W tym celu Bóg przez proroków i mężów natchnionych przez długie wieki przygotowywał was, abyście Jego naukę przyjęli, a następnie, abyście rozszerzyli Królestwo Jego po całym świecie. Otóż tragizm wasz leży w tem, że przez tego Zbawiciela miljony ludzi doznało i doznaje odkupienia — tylko nie wy. — Patrjarchowie wasi i co najpiękniejszego wydał naród wasz wyczekiwali z tęsknotą przyjścia obiecanego Zbawcy — a gdy Ten przyszedł — staliście się Jego śmiertelnymi wrogami.

— Proszę księdza, a dlaczego się to stało?

— Bóg przeznaczył wam wyższy świat i wyższe panowanie — świat wzniosły ducha, i trzeba przyznać, byliście do tego doskonale przygotowani, ale niestety, umiłowaliście złotego cielca.

— Ależ, proszę księdza dobrodzieja, nam nie chodzi o złoto, ani o panowanie nad światem...

— Jeżeli pan mnie nie wierzy, to musi uwierzyć prorokom waszym. Już Mojżesz nie mógł dać sobie z wami rady. A kary, które Bóg ustawicznie spuszczał na was za odstępstwo o czem świadczą?

Zamyślił się głęboko nasz Izraelita.

— Tak, odpowiedział po chwili cichym głosem, naród nasz był naprawdę czupurny.

— Otóż, ciągnąłem dalej, tragizm wasz w tem tkwi, że wy sami zupełnie dobrowolnie jesteście sprawcami własnego nieszczęścia.

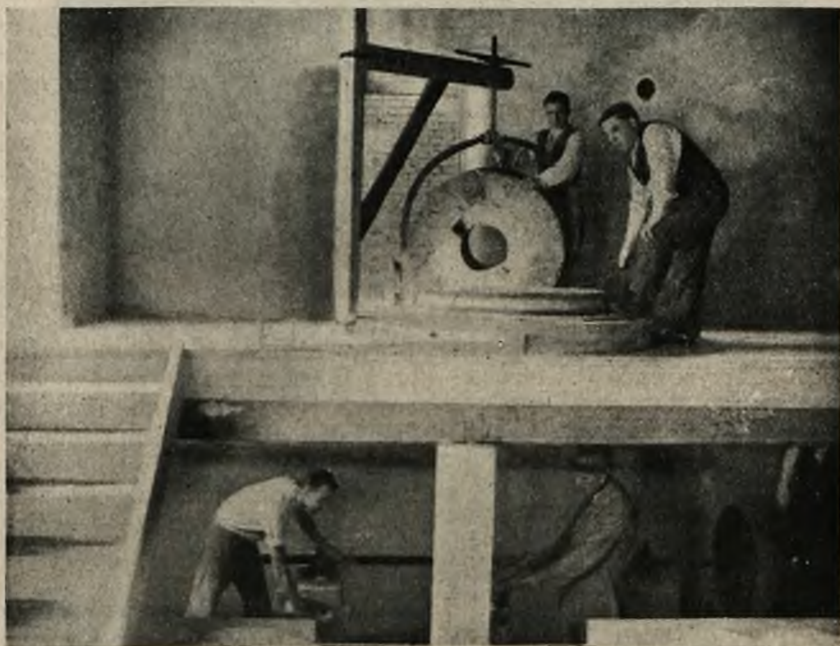
— O, proszę księdza, żebyśmy mogli poznać, jak jest z tem naprawdę...

— Modlimy się o to światło dla was.

— A co ksiądz dobrodziej myśli o sjoniźmie? Stworzenie państwa żydowskiego w Palestynie byłoby chyba rzeczą b. pożądaną i dla Polaków? Bo nas tu w Polsce za wiele.

— Dlaczego? Nie wierzy ksiądz w państwo żydowskie? Mamy awantury z Arabami...

— Gdyby tylko z Arabami była sprawa, nie przedstawiałoby się tak źle. Mieliśmy trzech potężnych zaborców i obojętność całego świata przeciw sobie a jednak Polska zmartwychwstała. I wy przy waszym sprycie, wpływach i kapitałach, jakie po-



Pawlikowice: Już młyn niedługo będzie gotowy.

— Nietylko dlatego życzyłbym wam w tem powodzenia. Ale życzę wam tego jako człowiek. My Polacy, byliśmy długo pozbawieni własnego państwa, rozumiemy może lepiej od innych, jako ono jest potrzebnem dla waszego normalnego rozwoju. Ale jako chrześcijanin — nie mam wiary w odrodzenie waszego państwa.

siadacie, dalibyście sobie z łatwością z Arabami radę. Wy macie daleko większego przeciwnika, bo samego Boga. Bóg chciał zawrzeć z wami nowy pakt i zesłał w tym celu Mesjasza, a wyście nietylko paktu nie zawarli ale Mesjasza zabiliście.

— Proszę księdza czy naprawdę żydzi ukrzyżowali P. Jezusa? Wszak żydzi byli prześla-



Pawlikowice: Kuj, póki gorące.

dowani przez Rzymian. Jak oni mogli ukrzyżować P. Jezusa?

— Jeżeli pan ciekawy, jak się to stało, niech przeczyta Ewangelję.

— Ja czytałem Renana.

— Niewiele Pan od niego się nauczy, bo ten autor stracił wiarę i zaparł się Chrystusa.

— Więc powiem panu tylko tyle, że starszyzna żydowska skazała Jezusa na śmierć, ponieważ wyroku tego im nie wolno było wykonać — dzięki wpływom swoim wymusiła na Pilacie wydanie wyroku śmierci, a legjoniści rzymscy wyrok ten wykonali.

— Nie skończyłem jednak uzasadnić panu, dlaczego nie wierzę w państwo żydowskie. Żadnym narodem Bóg tak nie opiekował się jak waszym. Wyście odrzucili tę szczególniejszą przyjaźń Bożą. Czy pan myśli, że z Bogiem można robić sobie żarty? Nie, mój panie, dla was, tak jak i dla nas niema innego Zbawiciela, jak Jezus Chrystus, a innego zbawienia jak całą duszą przyjąć Jego naukę — wówczas odzyskacie Jego opiekę.

— A więc według zdania księdza niema nadziei w odrodzeniu ojczyzny żydowskiej? zapytał ze smutkiem.

Żal mi się zrobiło tego człowieka, któremu zachwiałem wiarę w odrodzenie jego ojczyzny ziemskiej — aby w tym celu nie stracił wiecznej.

— Jeżeli chodzi o nadzieję — to jest. Jest nawet proroctwo, że przed końcem świata znaczniejsza część Żydów nawróci się, i wiernie służyć będzie Mesjaszowi.

— Czy prędko będzie koniec świata?

— Zbliżamy się, ale kiedy to nastąpi, sam Bóg tylko wie.

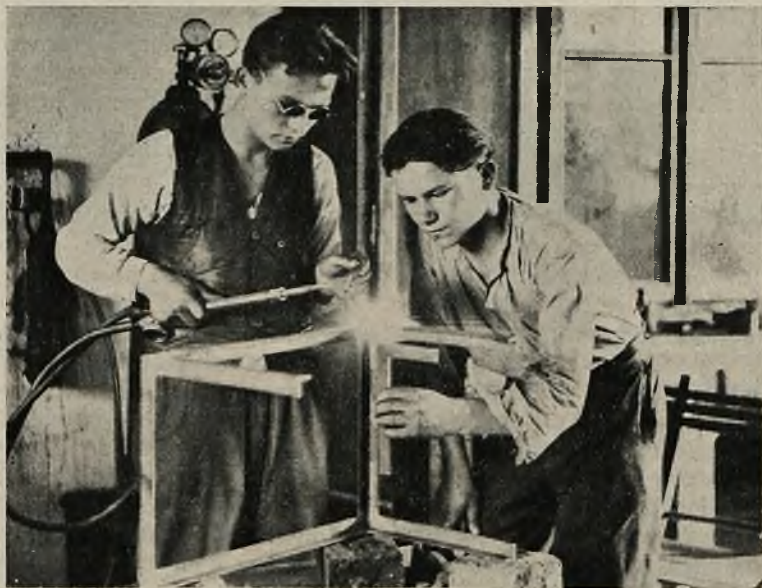
Na tem skończyła się nasza rozmowa. Nasz sjonista opuścił przedział. Widać było jednak, że rozmowa ta wywarła na nim głębsze wrażenie. Wrócił po rzeczy tuż przed Jasłem, gdzie miał wysiadać. Z szacunku, jaki nam okazał przy pożegnaniu, widać było, że żalu do nas nie miał. *Ks. W.*

Wejrzyjmy do Zakładów ks. Markiewicza.

(wyjątek z kazania wygłoszonego przez księdza Szpetnara w Przeworsku)

Hasło naczelne, które przyświecało ks. Markiewiczowi w wychowaniu: powściągliwość i praca. W zakładzie wszyscy zajęci pracą; zdolniejsi, mający zamiłowanie do książki, uczą się, inni pracują w polu, inni tworzą warsztaty rzemieślnicze. Wiele było pracy w warsztatach, żeby tak wielki dom obsłużyć. O wielu wychowankach możnaby powiedzieć, że trzymali w jednej ręce książkę, a w drugiej młot, szydło lub igłę, a tak doszli do kapłaństwa i do świeckich ważnych stanowisk.

Przebywałem lat 23 w Krośnie, patrzyłem zbliska na dzieło ks. Markiewicza. Samego ks. Założyciela poznałem w r. 1908. Pragnąłem go poznać. Mówiono, że to człowiek święty. Tyle się naczytałem o świętych z książki, chciałem widzieć świętego człowieka tu na ziemi. Gdy go raz poznałem, to już każdego miesiąca wymyśliłem sobie jakąś przyczynę, żeby do Miej-



Pawlikowice: Spawacze.

sca pojechać i księdza Rektora zobaczyć. Czem ks. Markiewicz pociągał ludzi, czem pociągał wychowanków? — Idę z ks. Markiewiczem. W podwórzu jeden z wychowanków zajęty jakąś pracą. Gdy ujrzał ks. Markiewicza, cisnął wszystko, przybiegł się przywitać. Odzienie na chłopcu ladajakie, twarz zniszczona nędzą, znać, że chłopak z ulicy, z nędzy. Ks. Markiewicz wita chłopczyka tak serdecznie jak najbardziej kochający ojciec najbardziej kochanego syna. Chłopczyk się uśmiecha, jak nigdy się jeszcze nie uśmiechał, a twarz jego staje się piękną. Słyszał dotąd same wyzwiska, przekleństwa. Teraz słyszy dobre i serdeczne słowo. A ks. Markiewicz uśmiecha się także, takiego uśmiechu nie zapomina się nigdy. On kocha te dzieci szczerze, On widzi w tym chłopczyku duszę, skarb wielki, duszę ludzką, co warta tyle, ile warta krew Chrystusowa dla tej duszyczki przelana.

Czem pociągał ks. Markiewicz starszych ludzi postronnych? Wiarą wielką, świętością życia. Wodziłem raz, żeby się tak wyrazić, ks. Markiewicza na pokuszenie. Mówiłem raz mniej więcej tak: „Niech się ksiądz Rektor nie obrazi, ale są tacy, co powiadają, że tak długo dzieła księdza Rektora, jak długo życia. Są tacy, co powiadają, że po najdłuższem życiu księdza Rektora wszystko się rozsypie. Ale ja nie mam zamiaru Księdza Rektora obrażać. Niech mi ksiądz Rektor to przebaczy". Nie zapomnę tego nigdy. Oblicze księdza Rektora zajaśniało. Widziałem aureolę w jego obliczu. Wtenczas zrozumiałem, czemu się maluje świętych z aureolą. Ks. Markiewicz ożywiony podniesionym głosem mówi: „Co? Teraz tylko początek skromny za mego życia. Dzieło moje się rozwinie dopiero po mojej śmierci. Ksiądz będziesz oglądał rozwój dzieła mojego". Potem Ks. Markiewicz wziął mnie za rękę i poprowadził: „Tu będzie drugi wielki internat, tu będzie gmach warsztatowy", tu będzie kościół Królowej Polski".

O to mi tylko chodziło.

Dziś w Miejscu Piastowem stoi drugi internat, wspanialszy niż pierwszy, stoi gmach warstatowy, stoi wspaniała świątynia Królowej Polski. Już po śmierci ks. Markiewicza stanął gmach nowicjacki w Pawlikowicach, synowie duchowni ks. Markiewicza objęli placówki w Krakowie, Berteszowie, Warszawie, Lwowie, Dziatkowiczach.

Jak się to wszystko stało?

Ks. Markiewicz, po powrocie z Turynu, przyszedł z walizeczką do Miejsca Piastowego. Moc Boża na wszystko! Pierwsi wychowankowie mieścili się na plebanji, w domach najętych na wsi. Kiedy ks. Markiewicz przystępował do budowy zakładu, to można śmiało powiedzieć, — nie miał grosza. Pan Bóg posyłał takich, co pieniądze dawali. Czytam w życiorysie ks. Markiewicza, że przyszła śliczna Pani w sobotę i dała pieniądze na wypłatę materjału i robotnika — Tej ślicznej Pani nikt nie widział, — jeno ks. Markiewicz. Opowiadał mi Łukasz Grzybała, gospodarz i drenarz z Miejsca Piastowego: „Jednej soboty, jak

się budowa prowadziła miałem większą sumę pieniędzy. Od rana prześladował mnie głos: Idź i oddaj wszystkie pieniądze ks. Markiewiczowi. Żeby chłop oddał od siebie wszystkie pieniądze, opowiadał Łukasz, na niepewne, niełatwa to rzecz. No ale głos, który mnie mordował, był jeszcze silniejszy. Nie wydzierżyłem. Poszedłem i oddałem wszystkie pieniądze". Ks. Markiewicz uśmiechnął się po



Pawlikowice: Przy młocarni Czekamy na nowy chleb.

swojemu. Miał taką minę, jakby chciał powiedzieć: „wiedziałem, że przyjdziesz".

Pieniędzy ciągle było potrzeba, bo chłopcy nie mogli i na życie w całości zarobić. Uczyli się przecie. Nie wiedziano nieraz rano, co będzie na południe. Ale w zakładach ks. Markiewicza nikt nie umarł z głodu.

Kiedy już dla chłopców zbudowano pomieszczenie, wtenczas na starej plebanji zaczęły się gromadzić ubogie dziewczęta. To był początek zakładów żeńskich, to był początek Zgromadzenia Żeńskiego św. Michała Archanioła. Tak w zakładach męskich jak i żeńskich odrazu wprowadzono zakonny porządek życia. W początkach Zgromadzenie było oparte na statucie świeckim, a dopiero po śmierci ks. Markiewicza otrzymało zatwierdzenie duchownej władzy. Dziś już Zgromadzenie żeńskie ma swój dom macierzysty w Miejscu Piastowem.

Tak więc ks. Markiewicz jest twórcą Zgromadzenia żeńskiego i męskiego św. Michała Archanioła. Za patrona dał ks. Markiewicz swemu zakonowi św. Michała Archanioła. Dlaczego? Św. Michał Archanioł odniósł

wielkie zwycięstwo nad szatanem, wydzierając szatanowi najprzód dusze samych wychowanków. Zakon św. Michała Archanioła ma odnieść zwycięstwo nad szatanem, który dziś uderza przez złych ludzi na węzły religijne, rodzinne, społeczne, państwowe. Zgromadzenie musi wychować wojsko karne do boju.

Ks. Markiewicz był w pewnem znaczeniu słowa prorokiem, przepowiedział wielu ludziom przyszłość, był prorokiem dla swego narodu; przepowiedział wojnę światową, przepowiedział powstanie Polski, przepowiedział, że po wojnie światowej przyjdzie inna wielka wojna, która sczasem zamieni się na wojnę religijną. Narody wtenczas już podzielą się nie wedle narodowości, ale wedle tego czyli są przyjaciółmi lub nieprzyjaciółmi Pana Boga. Wśród zmagań dziejowych Polska jeszcze przyjdzie do wielkiego znaczenia, Polska da także papieża światu.

Co na dokończenie obrazu?

Ks. Markiewicz to chyba polski św. Franciszek Salezy. Ks. Markiewicz świadomie naśladował św. Franciszka Salezego. Zawsze miał jasność w obliczu, zawsze miał dobre słowo dla każdego, zawsze był uśmiechnięty nawet w najcięższych chwilach. Był podobny do św. Wincentego a Paulo, nie miał nic, a rozdał miljony. Żył życiem łaski, widziano też w nim za życia męża Bożego. Był człowiekiem niezłomnej woli, miał cel przed sobą i do tego celu wytrwale dążył. Był wielkim wychowawcą, podał sposób wychowania ubogiej młodzieży.

Ks. Markiewicz umarł z końcem stycznia 1912 roku. Na pogrzebie nie było smutku, czuli obecni, czuli wychowankowie, że ks. Markiewicz z nieba nad swojem dziełem czuwać będzie.

Kiedy św. Piotr wygłosił kazanie w dzień Zielonych Świątek, to się ludzie dobrej woli pytali: co my mamy czynić? Najmilsi moi słuchacze też pewnie zwrócą się do mnie z pytaniem, co my mamy czynić? Sądzę, że trzeba się modlić bardzo o beatyfikację ks. Markiewicza. Pragniemy mocno, aby ks. Markiewicz dostał się na ołtarze. Trzeba czytać życiorys ks. Markiewicza, aby tego męża Bożego lepiej poznać. Synowie duchowni ks. Markiewicza mają dwie drukarnie, drukują Kalendarz, drukują liczne zbożne dzieła: trzeba się zapoznać z temi dziełami. Tak się poprze dzieło ks. Markiewicza i materjalnie i moralnie; trzeba czytać pismo założone przez ks. Markiewicza „Powściągliwość i Praca", aby się dowiedzieć, jak się rozwija obecnie dzieło ks. Markiewicza; trzeba czytać miesięcznik „Nasze Życie", aby się dowiedzieć, jak pracuje młodzież tych Zakładów. Tak się przyczynimy do zwycięstwa św. Michała Archanioła nad złem, jak pragnął ks. Markiewicz.

Ks. St. Szpetnar

OD WYDAWNICTWA.

Zwracamy się do wszystkich P. T. Abonentów z gorącem wezwaniem, aby zechcieli uiścić prenumeratę, a w ten sposób poprzeć „Nasze Życie".



Z przed dwudziestu kilku laty.

(Wspomnienia z przeżyć w Zakładzie w Miejscu Piastowem).

2. W świat. Moskale w Zakładzie.

Tymczasem wojna do nas się zbliżała. — Już umieliśmy czytać gazety. Bitwa pod Kraśnikiem skończyła się klęską armij austrjackich.

...Lwów już zajęły wojska rosyjskie... „nasze" wojska cofnęły się chwilowo na zachód od Przemyśla... Przemyśl nie padnie i t. d. Takie wiadomości oficjalne podawały sztaby wojskowe. Poczta zaś pantoflowa przynosiła wieści inne, których prawdziwość niebawem zadokumentowały echa armat.

Zbliżała się do nas wojna. Co będzie?

Dla nas młodych, żądnych emocyj, słowo wojna było pełne tajemnicy. Czekaliśmy jej z bojaźnią i radością. Zobaczymy oficerów, generałów, kawalerję, armaty — bitwę! Usłyszymy rechot karabinów, świst kul. Lecz kule zabijają — oblatywał lęk. Wojna nieodwołalnie do nas się zbliżała. Po drogach pełno tłoczy się podwód. Uciekiniery. Wypędzeni ze swych chat i zagród, ze swej ojcowizny, z której od setki lat nikt ich nie ruszył, idą na tułaczkę. Wiozą cały swój dobytek: pościel, kojec i siano. A dom — tego już chyba nie zobaczą. Złowrogie kule w pył go zamieniły. — Ludzie brudni, zmęczeni, apatycznie idą przed siebie... uciekają. Dokąd? Kto ich zmusił do tułaczki? Wojna! Wojna nielitosna wydarła im mienie, wydziera życie. Dzieci ich od zarania życia tułaczami — żebrakami. Co z nich wyrośnie?

Moskale idą! Strach coraz większy, jak cień potężny, osiada na duszy. Idą Moskale, tak znienawidzeni przez nas. Za naszych ojców krew, męki. Za naszej Polski niedolę, za tułactwo jej synów od setki lat. — Coraz bardziej baliśmy się wojny. Tymczasem wieści coraz straszniejsze: Moskale w zdobytych miejscowościach grabią, palą kościoły, mordują wszystkich.

— Strach leciał przed nimi. Wszystko od nich uciekało: i ludzie zrozpaczeni i chmary ptactwa ciągnęły ku zachodowi.

Uciekać, uciekać wołały wieści.

Dziś wiemy, że nie Moskale ale wojna była straszna.

Uciekać! Dokąd? Na Węgry.

W Zakładzie ruch. Przełożeni zastanawiali się, czy nie zostawić domu i wszystkiego dobytku. Zabrać na wozy co się da i ruszyć na tułaczkę — byle daleko od Moskali. My młodzi cieszyliśmy się. Uśmiechały się nam przygody. Idziemy przecież ...w świat.

Tymczasem w Zakładzie coraz większe spustoszenie. Kaplicę urządzono w suterynach, zniesiono tam i statuę N. M. Panny i cały sprzęt kościelny. — Maszyny drukarskie rozebrano i zniesiono również do piwnic. To samo uczyniono z bibljoteką. W warsztatach demontują urządzenia, galanterja skórkowa chowa swoje wyroby do piw-

nic, a skórę tnie na rzemyki do wiązania koców i innych tłumoków. — Ważniejsze dokumenty zakładowe pozakopywano czy też w specjalnych słojach potopiono w studni. — Pokoje, sypialnie pustoszeją. Na wozy zładowano trochę pościeli, żywności i kotły do gotowania. Wszędzie ruch gorączkowy: każdy uwijał się koło swych rzeczy, a gdy któremu czasu zbywało, niszczył to i owo, bo poco zostawić Moskalom.

Staszek Chorchota (ś. p.) jeno buntował się i zły szemrał: „poco to wszystko, poco uciekać, niszczyć dobytek. Ja zostaję, pilnuję domu, puszczam młyn i mielę ludziom i Moskalom zboże na mąkę“. Nie zważano na jego gadanie.

... — Wozy „zładowane“. Kotły do nich przytwierdzone. Tylko konie zaprzągać i w drogę.

Im bliżej wymarszu, tem większy smutek osiadał na duszy. Żal murów, żal domu, żal Zakładu coraz wyraźniej osiadał na czołach młodzieży. Tempo zapału do wędrówki zmalało. Rodziła się chętka pozostać, widzieć wojnę, przeżyć choćby męki ale być w Zakładzie.

Tymczasem potężne echa armat coraz donośniej zwiastowały wojnę. Długie korowody „forszpanów“ zalęgały place, tłoczyły się po drogach, nerwowym ruchem ciągnęły ku zachodowi.

Armaty grają... wojna tuż.

Zapowiedziano nam odmarsz. „Dziś popołudniu wyruszamy. Niech wszyscy będą gotowi“.

„Już tak prędko? Czy koniecznie musimy uchodzić“. — Tu wojna, groza — Moskale — tu żal domu.

O jedenastej godzinie dnia (nie pamiętam) 1914 roku zjedliśmy obiad poraz ostatni w refektarzu. Czy go zobaczymy. — Biegamy po sypialniach, salach, — wszędzie pusto. Ostatniem spojrzeniem chcemy zabrać cząstkę murów do duszy i z nią powędrować w świat. — Ostatni pacierz mówimy w kaplicy — w tej kaplicy, w której On, wielki ksiądz Bronisław Markiewicz, nasz ojciec, modlił się — sprawował Ofiarę św. Modlimy się ostatni raz za duszę Jego.

Postać Jego staje nam przed oczyma, świetlana, uśmiechnięta. On Prorok, On widział tę straszną wojnę, On ją przepowiadał. Stało się.

„Ojcze, czy musimy ten dom opuszczać?“

Armaty wołają by prędzej uciekać. — Wojna już na progu. Kto chce żywym być niech czemprędzej uchodzi. Moskale straszni.

Czekamy. Już za kwadrans odchodzimy. Ostatnie rzemyki zawiązujemy u tłomoczków. Czekamy naszego prefekta p. Białczyńskiego. On w Krośnie. On najwięcej walczył sam ze sobą. Co robić? Zostać czy prowadzić dzieci na wygnanie. Zostać — to kto wie co zrobią z nami. Uchodzić — to, co stanie się z dziełem ks. Bronisława Markiewicza. — Pojechał do Krosna radzić się. Czekamy. Lada chwila wróci i zaraz odjazd.

Wrócił. - Dzwonek zabrzmiał. Zeszliśmy się na miejsce zbiórki. — Nasz prefekt już czeka — uderza w dzwonek. Cisza.

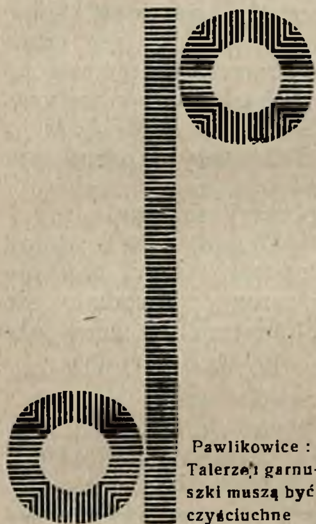
Chłopcy — powiada — wojna straszna do nas się zbliża. Dom nasz może być zniszczony. Nie-

jeden z nas może zginąć, gdybyśmy nie uchodzili. Lecz gdzie pójdziemy?... Tułać się po świecie? — Kto nam da pożywienie? Starsi zarobią, a mali? Co z nimi się stanie?

— W sali zaległa śmiertelna cisza. Gdzieś z tłumu słychać cichy szloch. — Pan prefekt ciągnie dalej: z dwojga złego wybieramy mniejsze zło: Zostajemy, nigdzie nie wyruszamy. Rzeczy rozpakować, sypialnie porządku. — Dom nasz staje się kasarnią. Ściągają tu kompanje jedne za drugiemi. — Spoczywają, śpią na słomie rozesłanej na korytarzach, a potem odchodzą na południe, na Węgry.

Już wrzawa bitwy uderza nasze ucho. Już rechot karabinów maszynowych rozlega się w powietrzu — już kule lecą nad naszemi głowami.

Resztki wojsk „sprzymierzonych“ uszły w „porządku“. —





Pawlikowice: Talerze i garnuszki muszą być czyściuchne

urządzić, poznosić kotły i naczynia do kuchni, gotować kolację. Rozejść się.

Rozeszliśmy się. Jedni się cieszą, inni szemrają, a inni lamentują nad szkodami wynikłemi wskutek burzenia warsztatów, narzędzi i maszyn.

Wszystko wróciło do trybu dawnego.

Czy wszystko?

Potężne salwy armatnie niosły groźbę wojny. — Drogami tłoczą się wojska. — Armia „sprzymierzonych“ cofa się w Jesteśmy w pasie bitwy.

Cicho. Żaden strzał nie zamącił ciszy.

Rdzawo-złote liście bez szelestu zwisały u gałęzi drzew. Jesień ostatkami swej krasy ozłacała świat. Opary senne tuliły się do pól szarych. — Ranek blady wychylał się z poza gór. Z powstającym brzaskiem już nie zobaczyliśmy „naszych“ wojsk.

Gorączkowy ruch w Zakładzie. Zdenerwowanie daje się zauważyć u każdego. — War-

sztaty w ruchu. Praca pozornie idzie jak zwykle. — Spoglądamy z okien piętra — szukamy na drogach Moskali. — Czy już idą? — Gdzie są? — Ach, Moskale, jakeśmy się ich bali. Jak nienawidziliśmy, oni zwycięzcami. My będziemy im musieli służyć. — Lecz nigdzie ich nie widać.

Naraz trzask, salwa i gwiżdżące brzęczenie przerywa powietrze. Sto szyb wyleciało z okien.

Po pierwszej salwie — druga wybiła resztę okien. Tynk odpadał w salach i korytarzach od kul ugrzęzłych w murze.

W domu popłoch. Co się stało.

Otóż Moskale — kozacy czerkiescy podjechali na pobliski pagórek zwany „Łysa Góra" i z za koni ostrzeliwali nasz dom — dopóki ktoś z naszych nie zerwał prześcieradła z łóżka, uwiesił na drążku i nie wywiesił na szczycie dachu. Oddaliśmy się bez wystrzału. Moskale „zdobyli" nasz dom. — Powoli z niedowierzaniem podsuwają się coraz bliżej. Wreszcie ks. Machała i pan prefekt Białczyński wychodzą i oświadczają, że to nie kawiarnia, lecz „pryjut". — Uwierzyli. Przeszli przez dom, siedli na konie i pojechali dalej.

Tymczasem od Iwonicza kroczy kolumna za kolumną wojska. Już zajęły nasze place. Już rozgospodarowali się po warsztatach — głównie ślusarni, gdzie poczęli naprawiać sobie karabiny i t. d. Nic też dziwnego, że ślusarze najpierwsi zawiązali z Moskalami komitywę.

Okazało się, że i Moskale są ludźmi i nie tacy straszni jak się zdawało.

I rozpoczęły się rządy rosyjskie. — Wojna poszła dalej. Myśmy zostali i nic się nam nie stało, owszem, powodziło się nam nie lepiej niźli później, gdy przyszli znowu Austrjacy.

●

XI Olimpiada.

Finish... Łudziłem się, że wreszcie człowiek będzie mógł spokojnie odetchnąć i z migdałową miną bonvivanta wpatrywać się w tandetny gzymsik radjoodbiornika. — Łudziłem się tylko... A zdawałoby się, że w naszych Pawlikowicach cicho, że u nas słychać tylko świegot ptasząt i gwar wychowanków — nie!... Olimpiada odbiła się u nas głośnem echem. Chyba nie było więcej hałasu na stadjonie berlińskim, niż u nas w Pawlikowicach.

Właśnie zwoziliśmy pszenicę. Gnaty mi zupełnie powyłaziły z łożysk; położyłem się w parku pod gruszą, z zasady lubię leżeć pod drzewem owocodajnem.

— Hallo!... tu służba sprawozdawcza Polskiego Radja — odzywa się głośnik, specjalnie wystawiony na okno, aby wszyscy mogli słyszeć. Kto nie miał 40° gorączki lub ostatnich spodni nie oddał krawcom do reperacji, ten słuchał, wlepiwszy oczy w okno drugiego piętra.

— Prowadzi... brawo... wyprzedził... o, już tylko osiem metrów... sześć... cztery...

— Wal goala — ryknąłem z całych sił...

I tak było całemi dniami. Żyliśmy pod znakiem Olimpiady. Ja sam przecież dostałem takiego wigoru, że podczas jednej rekreacji zagrałem w footbal, a wspomnę dla jasności, że już dawno minęły mi latka, kiedy na mnie wołano „Adasiu", bo już jestem człek nieco leciwszy i mniej lotny, wskutek czego usunięto mię jeszcze przed przerwą (w 13-ej minucie).

Olimpiada się skończyła, stargała mi nerwy tak, że boję się już wszystkiego, co się zaczyna na „O", a wrażenie jeszcze trwa... Gdziekolwiek zwrócę bezsenne powieki, wszędzie rysują mi się koła... pięć kół...

A jednak to koło, to trudna sztuka. Przypomina mi się geometrja i lata szkolne: — „cotangens, sinus, cooosinus. Tak Olimpiada to trudna sztuka, ale znów nie tak ważna, żeby wszyscy mieli targać sobie przez cały miesiąc nerwy. Pewnie, że to trochę smutne, że jesteśmy na dalekim horyzoncie, ale nie aż tak bolesne. Wszak został u nas Rząd, ambasady, poselstwa i agencje konsularne są na swoich miejscach, a genjalni ludzie w laboratorjach. Przecież do Berlina żadną miarą nie pojechali genjusze...

Krzyk „Polska przegrała" — byłby aktualnym chyba wówczas, gdybyśmy wszyscy byli linoskoczkami i zajmowali się cyrkowem przedsiębiorstwem jako światowi domokrążcy...

I zaraz lament, że do niczego nie jesteśmy zdolni, że nasza młodzież słaba, anemiczna, źle odżywiana, że wieś trzeba „usportowić", tak, jakby ta garstka w Berlinie, ta garstka, z którejby nie stworzył etatowej kompanji — była całym narodem, a przynajmniej jego odbiciem. A któż całe lato kosił, żął, woził, a teraz młóci i spieszy się, bo trzeba orać i siać?... A któż to pędzi w pełnym rynsztunku tam po rżyskach żytnich w manewrowych ćwiczeniach?... Przecież to nie najmniejsi, ale nasza młodzież zdrowa, krzepka, tęga, tylko nie linoskoczki.

Rozpędził się ktoś z naszych, chwycił go ochwat i źle skoczył, już od Bałtyku do Morza Czarnego leci nad krajem Lechitów jeden płacz wielki — „przegraliśmy, bośmy zwyrodnieli, jesteśmy cherlaki"...

Noji, Verey, czy wszyscy razem, to nie jest cały Naród Polski, ani jego wierne odbicie, to tylko nasi zawodnicy sportowi, którzy stykając się w tej „olimpijskiej Babel" z innymi zawodnikami spełniają olbrzymi krok naprzód w wielkiej idei zbliżania się narodów. Pamiętajmy na greckie olimpjady...

Olympias była świętem u greków, świętem pokoju. W czasie olimpjady nie prowadzono wojen, a prowadzone przerywano. Celem igrzysk było zjednoczenie państewek greckich — narodowa łączność. Wstęp na Olimpjadę mieli tylko ci Grecy, którzy się nigdy nie splamili nieszlachetnym czynem. I nie krzyczano, że Ateny przegrały,

ale Eukleides, Ateńczyk zwyciężył...

Od pierwszej olimpjady dzieli nas 2712 lat, a charakter igrzysk ma zostać w myśl dawnej tradycji. Nie po to pojechali nasi zawodnicy, nie po to naszyto im na mundurach białe orły, aby wszyscy szybciej biegali, lub najwyżej skakali, ale pojechali na święto olimpiady, aby wziąć udział w tym wielkim ruchu zbliżania się ludów. Cieszmy się ze startów godnych, ambitnych, rzetelnych, a smućmy się naprzykład sztubacką kłótnią o goala, ale nigdy samym goalem.

A piszę to dlatego, że się mię pytają, gospodarze:

— Panie, a podobnośmy przegrali z Niemcym i Austryjokiem?... Pytają się z lękiem, bo wiem, że ci sami pluli w garść w Legjonach, aby mocniej utrzymać w „rapie" karabin i wygrali... i ci sami stanęli pod Warszawą w 20-tym roku i naprawdę sarmackim gestem wylali niejeden puchar krwi na zdrowie Europy i wygrali... Nie wolno im teraz targać ostatka nerwów, nie godzi się wrzeszczeć bez zastanowienia słów, których oni się kiedyś bali, jak piekła!

Bądźcie spokojni wąsale! — Polska nie przegrała, to tylko grupa naszych zawodników sportowych pojechała na święto sportowe, na olimpjadę, a tam biegała, skakała, jeździła i tak sobie figlowała...

Adam Wójtowicz

●

A jednak było to piękne...

6. Ale znalazł się czasem między nami śmiałek, który się ośmielał twierdzić, że się nie boi. Oburzenie nasze było wielkie. Zakładaliśmy się z nim o różności n. p. o gumy do procy, łańcuszek, kolekcję guzików do grania, a kto tego nie miał, to o jutrzejszy podwieczorek, pół śniadania, albo dwie kromki chleba, czy pójdzie wieczorem w ciemnościach na drugi koniec parku. Śmiałek miał na miejscu zostawić jakiś znak, powiedzieć nam wprzód, co zostawi, a na drugi dzień szliśmy wszyscy sprawdzać. Ale różnie bywało. Najczęściej jednak taki zuch, podprowadzony przez nas na pokraj parku, a już w wyobraźni nastawiony na wszystkie możliwości, robił kilkanaście kroków w ciemną głąb i nagle przestraszony jakimś szelestem albo ruchem krzaka zostawiał ze strachu znak, ale w najmniej dla siebie odpowiedniem miejscu i wyrywał co tchu, nie zwracając już po drodze na nas najmniejszej uwagi, w kierunku pewnego, odosobnionego skrzydła domu... No, ze strachami niema żartów i nigdy nie wiadomo, czem się to dla człowieka może skończyć. Toteż podobnych prób wkrótce zaniechaliśmy zwłaszcza, że niektórzy chwycili się oszukaństwa. Aby mieć na wszel-

ki wypadek dowody swej odwagi, ukrywali za dnia na różnych miejscach parku różne przedmioty, a potem podejmowali się ochotnie dać dowody swej odwagi. Myśmy jednak prędko odkryli brzydki podstęp.

Ten nasz strach z parku w nocy potęgowały opowiadania starszych kolegów i kobiet wiejskich, przychodzących do zakładu w lecie do plewienia w polu a w jesieni do obierania kapusty, czy buraków, itd. Z tych opowiadań, pomagających przy pracy dowiadywaliśmy się, jak to straszyło w starym dworze. W lamusie około północy odzywały się jakieś jęki, wycia, śmiechy i gwizdania przy równoczesnym brzęku łańcuchów. W Parku zaś — podczas bezwietrza i zupełnej ciszy — nagle poczynało w koronach drzew szumieć i gwizdać, jakby była największa wichura; drzewa się uginały, wierzchołki i gałęzie, łamane niewidzialną siłą, spadały na ziemię... I naraz znów zupełny spokój — tylko tu i tam coś się długo chichotało wśród drzew niesamowicie...

Stara dworska kucharka — i tę kumoszki dobrze znały — kobiecina bardzo pobożna, nieraz w nocy się budzila na te dziwne odgłosy z sąsiedniego, opuszczonego od lat lamusa, albo na straszny brzęk, tłuczonych w kuchni garnków i talerzy, ale się nie ruszała z miejsca, zachowaj Boże, tylko się żegnała święconą wodą i sinemi wargami klepała pacierze. Rano, gdy weszła do kuchni, znachodziła wszystko w porządku, jakby się nic w nocy nie było działo. Ta starowina i dalsza służba dworska byli świadkami tych dziwnych zdarzeń i oni to wszystko poopowiadali, gdzie komu było można. Wiejskie kobiety to znów opowiadały nam, a myśmy słuchali wszystkiego chciwie, jak każde zresztą dzieci.

Ze strachami był koniec, gdy z dworu powstał zakład i wszystko zostało uroczyście poświęcone. Przy poświęceniu parku wprawiono w pień jednej lipy obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej, który jest tam podziś dzień. Dawniej — jak pamiętam — był całkiem duży i piękny, złocony. Obecnie już prawie całkiem zarósł w drzewo i ledwo cośniecoś z niego widać. Mało kto z obecnych wychowanków wie o jego istnieniu, a i ci, co wiedzą, nie zdają sobie sprawy z tego, jaka to jest cenna pamiątka i co się z nią wiąże.

Na usprawiedliwienie naszej bojaźni przed strachami przytoczę jeszcze fakt, że nietylko my — bąki, szkuty, knoty — słowem malcy — baliśmy się strachów. Bo i niektórzy ze starszych, a nawet przełożonych bali się ich i to wtedy jeszcze, gdy my już przestaliśmy się bać. Jeden z przełożonych, gdy musiał wyjść w ciemny wieczór na dwór i przejść z domu mieszkalnego do sypialń, to straszliwie chrząkał, kaszlał dla dodania sobie odwagi i nieraz się widziało, że na wszelki wypadek dzierżył w ręce potężną motykę, czy kij. Trudno nam się potem było nie bać...

— — — — —

7. Ale przejdźmy teraz do innych kwestyj. Tych parę fragmentów daje czytelnikowi jaki

taki opis miejsca, w którem przebywałem od tak wczesnej młodości. Opis to bardzo powierzchowny i niedokładny. Brakuje w nim wzmianki o ogrodzie, dużym sadzie, cegielni zakładowej i tej parowej, za lasem, dzisiaj już nie istniejącej. O tej drugiej cegielni warto wspomnieć. W cegielni tej godną uwagi była przedewszystkiem hala maszyn, a to ze względu na potężną, parową lokomobilę, stękającą, sapiącą i tłoczącą w ciężkim trudzie innemi maszynami cegły i dachówki czerwone i białe. Oglądaliśmy zawsze tego ziejącego gorącem, a lśniącego oliwą potwora, z niemem zdumieniem, przechodzącem nawet w zachwyt. Oglądać go można było tylko wtedy, gdy na to, w przystępie dobrego humoru, pozwalał gruby, jak sama lokomobila i umorusany maszynista. I to wyłącznie w czasie 10-minutowej przerwy w pracy. Oglądnąwszy, usiadaliśmy, jak stado wróbli, na miedzy przed oknami hali i czekali niecierpliwie aż lokomobila zagwizda, wyrzuci kominem parę potężnych kłębów czarnego dymu i pocznie stękać i sapać nanowo. Nastąpił przeciągły i przeraźliwy gwizd. Wywracaliśmy parę koziołków z uciechy i szliśmy całkiem uszczęśliwieni do swej pracy.

Ja oprócz fabryki lubiłem trochę i jej właściciela, czy dzierżawcę. Oczywiście nie była to miłość tak całkiem bezinteresowna zwłaszcza, że tym właścicielem był żyd z dużą czarną brodą i małemi kaprawemi oczami. Posyłano mnie często do niego z pocztą, za co od niego dostawałem zawsze jeden uśmiech i dwa centy. Za te centy go to lubiłem. Z tych centów spocżątku nic nie miałem. W zakładzie nie wolno było nikomu, prócz dyrektora, trzymać pieniędzy u siebie (ale i dyrektor je rzadko trzymał, bo ich nigdy nie było) więc taki grosz był moim tylko przez drogę, bo w domu centy zaraz oddawałem. Ale i to była radość. Później mieliśmy w zakładzie swoją kasę oszczędności i książeczki. Otrzymane centy się oddawało do tej kasy. Tak zebrany kapitał wraz z procentami był wyjeżdżającemu na stałe z zakładu wychowankowi wypłacany sumiennie do grosza.

Wróćmy jednak do właściwego tematu. Chciałem teraz wspomnieć trochę o samem życiu w zakładzie. Tak pobieżnie tylko i przy sposobności, sam nie lubię straszliwie nudziarzy, więc nie mam zamiaru nikogo nudzić.

Życie zakładowe normuje domowy regulamin. Według niego trzeba postępować i wpatrując się weń, jak śpiewak w nuty, prząść szarą ale tęgą i pożyteczną nić życia. Aby zaś móc żyć według regulaminu, trzeba go znać. O to się zaś troszczył zawsze p. Prefekt. Każdą drugą niedzielę schodziliśmy się wszyscy do dużego refektarza na wykład regulaminu. Przełożony czytał poszczególne ustępy, a my zapatrzeni w niego słuchaliśmy w skupieniu. Wyjaśniając niektóre przepisy, przełożony zwracał równocześnie naszą uwagę na to, gdzie się w porządek domowy wkradły uchybienia. Żą-

dał kategorycznie w tym kierunku poprawy na przyszłość. Działo się to zawsze w słowach łagodnych i miłych. O strasznych wykroczeniach było mówione często nawet z humorem. Przestępców, choć byli znani, nie wspominano nigdy po nazwisku, lecz zawsze tylko ogólnie. Toteż wdzięczni byli za to przełożonemu i w swoich skruszonych duszyczkach postanawiali zawzięcie poprawę. Zdarzało się, że podczas wyliczania grzechów któremuś z nas się wyrywało, „aha, ja wiem, kto to zrobił“, ale prefekt tego prawidłowo nie chciał dosłyszeć a niebacznemu Filipowi z konopi dostawało się równocześnie z obu stron, od sąsiadów, szturchańców cichych wprawdzie, ale zato dobrze wymierzonych i bolesnych. A gdy jeszcze sąsiad stylu, gdy nie miał nóg zakrótkich, interweniował skrycie kopniakiem, długojęzycznik milkł wpół słowa, jak gęś dobrze trafiona.

To była ta słynna w zakładach metoda uprzedzająca, w tym wypadku podwójna, stosowana zgóry i zdołu... *M. Cz.*

(C. d. n.)

○○○○○ ... ze sportowego boiska.

Przez ostatnie dwa tygodnie ruch i tempo, zamykające się w ramach sportu, charakterystycznie odbijały się od szarzyzny dni.

Olimpjada... w Berlinie. — Młodzi i starzy, inteligentni i prostaczkowie, studenci i robotnicy — jednem słowem wszyscy zajęci byli tem, co dzieje się na olimpijskim stadjonie.

Z zapartym oddechem słuchano przy odbiornikach radjowych i megafonach, ustawionych na gmachach prasowych, co dzieje się z reprezentacją polską.

„Biały Orzeł“ kilkakrotnie szybował ponad rozentuzjazmowanym stadjonem na znak dobrych sukcesów naszych zawodników.

Były chwile i czarnej rozpaczy... ale gdzie ich nie brak... Wzmagania się 53 narodów zostały zakończone i Niemcy stały się triumfatorem XI Olimpjady.

Poraz ostatni odezwał się dzwon Olimpijski. Znicz olimpijski zagasł, a przy dźwiękach hymnu pożegnalnego biały sztandar olimpijski powoli zjeżdża z masztu...

Olimpjada... skończona.

. . . .





Pierwsze miejsce... najlepszy... te słowa idą z człowiekiem w życie od najwcześniejszych chwil. I każdy — bo jest to już w naturze ludzkiej — dąży do tego, aby być na czołowem miejscu, choćby w tem, co indywidualności jego odpowiada. I w Zakładzie pawlikowickim coraz bardziej pulsuje życie sportowe. A drużyna piłkarska „Victoria" wypracowała znowu kilka pięknych sukcesów. — I z dumą muszę powiedzieć, że chłopcy nasi każde spotkanie zaczynają z przeświadczeniem wygranej. — Najlepiej zilustruje kilka wyników ostatnich.

Victoria — Sokól (Wieliczka) (5 - 5)
Victoria — Strzelec (Wieliczka) (8 - 1)
Victoria — Reprez. Rożnowa (9 - 3)
Victoria — Orzeł (Kraków) (3 - 3).

. . . .

Oko naprawdę bawi się przebojową postawą chłopca podczas gry. A rozentuzjazmowani widzowie daleko na okolicę głoszą o tem, że na naszym boisku rozgrywa się walka o pierwsze miejsce.

Kilka dni temu czytałem artykuł sportowy, z którego jedno zdanie utkwiło mi szczególnie w pamięci.

Autor mówi — „Wspaniałą jednostką jest już ten, który w swej specjalności osiąga niedostępną dla innych wyżynę, a gdzie indziej nie zniża się niżej przeciętności" — Tak! Sportowiec musi być dżentelmenem nie tylko na boisku sportowem, ale i w życiu. **Włast.**

Świątobliwy młodzian.

Z Paryża donosi (KAP); W dniu Zwiastowania NMP 25 marca br., w obecności ordynarjusza diecezji Valence, biskupa Pic, na cmentarzu w Die dokonano ekshumacji ciała świątobliwego Guy de Fontgalland, zmarłego w opinji świętości 24-go stycznia 1925 r. w dwunastym zaledwie roku życia.

Ciało, jak się okazało, pozostało prawie niezniszczone; tylko skóra silnie pożółkła, poza tem jednak młodzieniec wygląda jakoby spał. — Obecnie zwłoki spoczęły w kaplicy seminarjum w Valence, w departamencie Drome we Francji.

Guy de Fontgalland, „mały cud", jak go nazwał kardynał Cerretti, w krótkiem swem życiu odznaczał się niezwykle ufną i wielką miłością do Jezusa, świecąc przykładem czystości, prawdomówności i walki z nielicznemi drobnemi swemi ułomnościami. Szczególniejszą czcią otaczają pamięć jego dzieci, a także alumni seminarjów duchownych (za życia mały Guy wzdychał zawsze do stanu duchownego) i kapłani.

ZŁOTE MYŚLI.

Ten, kto rozbrat uczynił z sumieniem i Bogiem,
Nad wszystkich wrogów gorszym jest Ojczyzny wrogiem!

Ks. A. S. Krasiński bp. wil.

Człowiek leniwy do wszystkiego jest zdolny
tylko nie do — pracy.

Św. Jan Złotousty.

KRONIKA
ZAKŁADÓW TOW. „POWŚCIĄGLIWOŚĆ I PRACA"

Kronika pawlikowicka.

Minęły już dni skwarnego lata, lata brzemiennego w burze i upały. Wszystko mija bezpowrotnie. Zniknęły też łany rozfalowanych zbóż, zostawiając smętne rżyska, przykrywane coprędzej wieśniaczą sochą... Nadchodzi jesień...

Wnet polecą liście z drzew, za zimnym wiatru powiewem, zwiędną kwiaty i zioła. Teraz z zadumą spoglądamy w świat, tęskne oczy biegną poprzez pola dymiące pastuszemi ogniskami — smętna fujarka zawodzi gdzieś pod lasem, na ugorze „Oj lu.. lu... lu...".

Spójrz jednak czytelniku jeszcze raz w przeszłe dni, rozjaśnij czoło zadumane. Miesiąc temu tętniło życie bogate w barwy, w słońce i wesele.

Okazale obchodziliśmy zakończenie żniw. Pobłogosławił nam dobry Bóg, gdyż szczęśliwie zebraliśmy wszystko z pola, od żyta i złotej pszenicy aż do koniczyny i siana. A groźnie było z nami, przechodziły stale deszcze... już się zanosiło na katastrofę. — Aż tu pewnego poranku, gdy już przez dwa dni pogoda wysuszyła zboże, okrzyknęliśmy na wszystkie strony świata: „Do pola! do pola!"

Pospolite ruszenie... I zaroiło się z sąsiednich gospodarstw zaczęły się wysuwać drabiniaste wozy. „Gdzie też oni tak jadą?" — pomyślałem — a to co? chyba mię oczy mylą, to wszystko sunie na nasze pode! Tak, na pomoc zakładowi. — „O święty Kosmo i Damjanie, ktoby się był spodziewał po tych poczciwcach" — niejeden z nas westchnął siarczyście, aż konie zestraszył. I nagle, jak się wszyscy nie wezmą do pracy... snopki fruwają w powietrzu... naładowane fury suną jedna za drugą... niczem tanki pancerne... A postawków coraz mniej i mniej — topnieją jak śnieg". I wreszcie... koniec!

— Jeszcze raz składamy Wam, Drodzy Sąsiedzi, serdeczne, polskie „Bóg zapłać", za oddaną przysługę i tyle okazanej życzliwości. Tej przysługi wam nigdy nie zapomnimy.

W związku z dożynkami, odbył się u nas piękny festyn, staraniem ks. prefekta Edwarda Tomzy. Udział publiczności był tłumny, trzeba dodać, że wszyscy odeszli niezmiernie zadowoleni.

Czego też nie było na tym festynie: i Ghandi i Negus, a już prawdziwą atrakcją był Pat i Patachon, świetnie ucharakteryzowani przez M. Głowackiego. W biegach na 5 km. zwyciężył Żołyniak, na 100 m. zaś Olejarz. O miłem wrażeniu, jakie festyn wywarł na obecnych świadczą pochlebne notatki zamieszczone w I. K. C. i Expresie.

Dnia 3-go sierpnia przybył do nas niecodzienny gość, a poznał się z nami jedynie przez „Nasze Życie", jest nim P. Inż. Brunon Absalon, naczelny dyrektor hut w N. Bytomiu. W towarzystwie inżynierów zwiedzał warsztaty i zabudowania. Na zakończenie zaprosił naszych księży do siebie.

Ostatnio zaczęliśmy budować młyn elektryczny, właśnie te zdjęcia ze stolarni i ślusarni przedstawiają ile pracy i kosztów wkładamy w uruchomienie młyna.

Dnia 15, w uroczystość Wniebowzięcia N. M. P., wstąpiła do nowicjatu poważna grupa (10) nowych gimnazjalistów. Szczęść im Boże w dwuletniej pracy".

P. S. Do Przewielebnego Duchowieństwa, ślemy prośbę o zaofiarowanie nam starszych sutann, dla młodych nowicjuszy, nie wszyscy bowiem są w stanie sprawić sobie sami, gdyż niejeden nie ma już ojca i matki. **Kronikarz.**

Tyniec — Zamek.

Mijają tygodnie w słońcu, w wodzie i w świeżem powietrzu...

Nasza grupa wesołych zuchów rozbawiona na łonie bogatej przyrody snać zapomniała o kronice na miesiąc sierpień. — Wszystkośmy jednak zapisali, a każdy dzień nam przynosił coś nowego.

Obawiamy się tylko, aby Szan. Redakcja „Naszego Życia" nie przycięła

nam... bo w czasach obecnych jest tendencja do obcinania...

Nasz wyjazd wakacyjny do Tyńca poprzedziła niezwykła radość, było nią zezwolenie Jego Eksc. Ks. Metropolity Sapiehy na zamieszkanie w zamku (klasztorze pobenedyktyńskim). Wdzięczni jesteśmy Jego Eksc. Ks. Metropolicie za okazaną życzliwość naszej rodzinie sierocej, imieniem wszystkich składamy Mu serdeczne „Bóg zapłać".

Po krótkich przygotowaniach wstępnych wyjeżdżamy 30/6 w grupie 4-ch, aby urządzić miejsce dla całej kolonji. — 2/7 36 r. wymaszerowała drużyna właściwa zuchów krakowskiego Zakładu. — W pełnym rynsztunku, w parach, uśmiechnięci, poważnie kroczyli za swoim wodzem. Przeszedłszy aleje wieszczów, już z mostu dębnickiego spoglądali w kierunku Tyńca. — Z rozkoszą zwracali swe oczy na fale Wisły, boć ona miała się stać atrakcją ich życia w Tyńcu. — Mówili ile i jakie to ryby przebywają w Wiśle, bo mieli wędki przy sobie... Młode ich serca żywiej tętniły, a oblicza ich promieniały szczęściem. Wszystkiem się interesowali, wymiana słów była tak poplątana, że zdawało się, iż wszyscy o wszystkiem mówią. — I tak wśród gwaru, i śpiewek wesołych doszliśmy do Pychowic. — Wioska stara, lecz to mniej nas obchodziło, wszystkich oczy zwracały się na drzewa sadowe, widocznie mieli zamiar ugasić pragnienie owocami zakazanemi. — W małej odległości od Pychowic jest położona wioska Kostrze, gdzie spokojnych mieszkańców zaalarmowały głosy: oto nasz zamek kochany, krzyczeli, jeszcze trzy kilometry, a już będziemy na miejscu. — Z pewnością wyjdą na nasze spotkanie Jasio i Józio.

Z każdą minutą zamek wyraźniej się uwydatniał, niby rósł, potężniały wieżyce starej świątyni, i dochodził do uszu naszych szum starych lip. Rosły młode serca, tężyzna wstępowała w dusze, i z uczuciem błogiej radości doszliśmy do pierwszych zabudowań Tyńca. — Miłe wrażenie zrobiła wioska na wszystkich, dzieci wybiegały na gościniec, bośmy rozśpiewani zdobyli mury starego zamku.

Pokryci kurzem, potem, przecieramy oczy, aby bez złudy przypatrzeć się i winną cześć oddać tym zabytkom kultury i sztuki naszych przodków.

Wygląd poważny starej świątyni pochodzącej z r. 1044, oraz szkielety klasztoru benedyktyńskiego, zrobiły takie wrażenie na naszych zuchach, że zapomnieli o wędkach, Wiśle i innych przyjemnościach, a usta ich składały się do modlitwy.

Na wstępie więc oddaliśmy hołd Bogu utajonemu w Przenajświętszym Sakramencie, a przez tyle wieków mieszkającemu w tej prastarej świątyni.

Wisła, jej chłód i bogactwo nadwiślańskie nas pociągały. — Swobodni, bez troski o jutro, pląsaliśmy w wodzie, słońcu i piasku... Lecz po 4-ch dniach wywieszono regulamin, który w kilku zdaniach określał dzienny rozkład życia. — To dodało nam wszystkim prawdziwej otuchy i zapału do szczęśliwego spędzenia wakacji. — Praca figurowała przed i popoł., ciekawi byliśmy tylko do jakiego rodzaju pracy nas zaangażują. — I nie zawiedliśmy się, bo stosownie do sił i okoliczności wakacyjnych nasi kierownicy wybierali nam pracę. Chodziliśmy do lasu, aby poznawać rośliny i drzewa, wyprawy nadwiślańskie też nie kończyły się bez zdobyczy, starsi zajmowali się badaniem minerałów, zbierali więc najrozmaitsze kamyki i inne przez Wisłę naniesione przypadłości. — W czasie żniwa, na łanach pól Wiel. SS. Felicjanek, stawialiśmy kopy, a wszyscy twierdzą, że to najmilsza rozrywka naszego pobytu w Tyńcu.

Podobnie jak na olimpjadzie w Berlinie zdobywaliśmy mety, lecz o ile się zdaje z lepszemi wynikami, bo kilku małych zuchów przyjedzie do Krakowa ze złotemi medalami, to jest zdrowiem, wytrwałością w pracy i solidarnością życiową. — W przemówieniach swoich podkreślił nam nasz kierownik, że tutaj mają nabrać tężyzny nasze dusze, ciała i umysły. Całą okolicę mamy u stóp — oby tak istotnie było, byśmy wszystkich przewyższali miłością Boga i bliźniego na wzór tych zakonników, którzy kilkadziesiąt lat temu tutaj zamieszkiwali. — Wiernie trwa nasza młodzież, sztandar wysoko powiewa na zboczu skał tynieckich, oznajmiając

turystom pobyt zdrowych i wesołych zuchów Józefickich.

Wieczorami echo pieśni załamuje się na skałach i szczerbach ruin zamku tynieckiego, padając w nurty Wisły... — Okoliczni mieszkańcy z upodobaniem przysłuchują się miłym melodjom, ciesząc się, że nowe pokolenie ożywia cmentarzysko na skale. — Lecz nie sztuka mieć siłę do pracy i zabawy, skoro się jest dobrze odżywionym. — Wielkie zasługi w tem mają SS. Felicjanki, które dzięki łaskawości przełożonej Wielebnej S. Pauli przygotowują nam codziennie obiady i kolacje. — Wdzięczni jesteśmy, niech Bóg im zapłaci za ich pracę i starania.

Tyniec słynie z wyrobów wełnianych. — Podziwiamy sztukę robienia na drutach najróżnorodniejszych rękawic, skarpet i swetrów. — Robią małe dzieci i zgrzybiali staruszkowie, którzy często są wykorzystywani przez handlarzy żydowskich. — Życie tych obywateli jest na ogół spokojne, boć małe mają wymagania, cechuje ich cierpliwość i małomówność. — Mile oni wspominają zakon Benedyktyński, może dlatego, że właśnie bracia zakonni nauczyli ich sztuki robienia na drutach, z której niejeden ma kawałek chleba. — Starzy obywatele tynieccy z pietyzmem odnoszą się do zabytków i świątyni. — Patrząc na nich budzi się w nas siła i wytrwałość, że my nie tylko zachowamy tę spuściznę, lecz wrócimy jej świetność dawniejszą, która pozostanie na świadectwo przez wieki. — Zaprawdę godne szacunku są te mury z zmarszczkami starości, — każdy rys głębszy powstał wskutek wstrząśnień narodowych... Warto przyłożyć ucho i oko serca, aby usłyszeć żałosny głos tych staruszków.



Zakład św. Józefa

Na kolonii w Tyńcu.

Kronikarz.

Kronika — Miejsce Piastowe

Wakacje się już kończą. Jeszcze tylko kilka, a najwyżej kilkanaście dni — myśli niejeden — i znowu zamiast przy zabawie, trzeba ślęczeć nad książką i „prać na blachę", bo w Zakładzie to nie tak prędko nauczyciela oszukać. Coraz częściej słychać głosy, jak to będzie, gdy szkoła się zacznie. Myślami takiemi zajęci są zwłaszcza nowoprzyjęci. Jeden z nich zapytuje, kto uczy matematyki — napewno ma jakieś niebezpieczne porachunki z matematykiem (poczekaj będziesz ty trząsł porciętami przy tablicy!) — inny, który nie umie dobrze po polsku, bo z Czech przybył, pyta znowu kto uczy polskiego, a jeszcze inny koniecznie chce się dowiedzieć, ktoby go tu najprędzej nauczył na Księdza Proboszcza. Tym wszystkim radzę, aby najpierw sami siebie uczyli, bo u nas jeśli ktoś zdobywa jakieś wyszkolenie i zawód, to tylko własną pracą nad sobą i zaparciem siebie, a temu, co chce się uczyć na księdza Proboszcza, radzę zebrać manatki i poszukać sobie innego miejsca, bo u nas na księdza Proboszcza się nie nauczy.

Wakacje spędzamy dość wesoło. Przybyli na wakacje Księża Prymicjanci (Ks. W. Kuras, Ks. Fr. Mendyka) oraz klerycy ze studjów ożywiają nas nietylko przy grze ale i przy pracy. Jednej przyjemności pozbawił nas jakiś „hycel". Przyszedł mianowicie w niewiadomym czasie i spuścił wodę ze stawku, chciał widocznie tanim kosztem zamarynować sobie ryb, których nieco było w stawku. Niestety! ryby uciekły a nam wszystkim zamknął kąpiel na tegoroczne wakacje, gdyż wskutek upałów źródło nie mogło dostarczyć w należytej ilości wody — niepowetowana strata.

W lipcu bawiło u nas przez kilka dni grono aktorów ukraińskich i odgrywali na scenie różne przedstawienia, z których na szczególną wzmiankę zasługuje „Chata za wsią" Kraszewskiego.

W dniu 26 lipca wychowankowie z orkiestrą byli w Iwoniczu na pożegnanie zwłok śp. dr. Penara. „Szkoda, że śmierć nie ma wakacyj", odzywa się po pogrzebie jeden z uczestników. „Ale — odpowiada p. X. — jemu tam będzie lepiej". — Słuchaj pan, co panu powiem — mówi znowu pierwszy:

„Jedna mieszczanka odwiedziwszy chorą swoją przyjaciółkę, mówiła do niej o śmierci: — Ach! moja kochana pani, jakże szczęśliwa jesteś, że już wybierasz się do nieba, dla oglądania jasności Boskiej i wiecznej Jego chwały!

Na to chora odpowie:

— Skoro wnijdę do nieba, będę zaraz Pana Boga prosiła, iżby dla kochanej pani co rychlej miejsce godziwe w swojej jasności i chwale przygotował.

Na to pierwsza odpowie z gniewem:

— Proszę się nie wdawać w moje sprawy i Boskiego zrządzenia nie przyspieszać".

W ten sposób p. X. został przekonany, że jednak lepsze to co się widzi i ma, niż to czego się nie widzi i czego się nie ma.

Kończąc kronikę, podaję do wiadomości, że wychowankowie z Pawlikowic, którzy do Miejsca Piastowego przyjechali, czują się dobrze, dwóch z nich przygotowuje się do pierwszej spowiedzi i Komunji świętej. Wszyscy zasyłają pozdrowienia kolegom w Pawlikowicach.

Kronikarz.



Adres Redakcji i Administracji:

PAWLIKOWICE, P. WIELICZKA, ZAKŁAD WYCHOWAWCZY

Pod tym adresem należy przesyłać artykuły, sprawozdania, materjały do różnych działów, listy i t. p.

Rękopisów Redakcja nie zwraca, lecz ważniejsze przechowuje.

Prenumerata roczna w kraju zł. 2·20, kwartalnie 60 gr.

Cena pojedyńczego egzemplarza 25 gr. — zagranicą 4 zł. p.

Wszelkie wysyłki pieniężne należy przesyłać czekiem do P. K. O. w Krakowie na konto Nr. 404.854.

Wydawca: Zakład Wychowawczy w Pawlikowicach.

Redaktor odpowiedzialny: Ks. Stanisław Kot